

Zło miało zaskakująco piękną twarz



CISZA
w jego
OCZACH

KAROLINA ŻYNDA



KAROLINA ŻYNDĄ

CISZA
w jego
OCZACH

Copyright © for the text by Karolina Żynda
Copyright © for this edition by Wydawnictwo NieZwykłe, Oświęcim 2025
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Anna Łakuta
Korekta: Karina Przybylik, Martyna Janc, Aleksandra Płotka
Skład i łamanie: Paulina Romanek
Oprawa graficzna książki: Paulina Klimek

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8362-781-6 · Wydawnictwo NieZwykłe · Oświęcim 2025
Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwoniezwykle.pl
✉ niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl
📘 Wydawnictwo NieZwykłe
📷 [wydawnictwoniezwykle](#)
✂ [Wyd_Niezwykle](#)
🎵 [wydawnictwoniezwykle](#)

Dla Babci Krysi, która nauczyła mnie kochać książki. To dzięki Tobie i mojej pierwszej miłości – Ani z Zielonego Wzgórza – odkryłam magię czytania. Gdyby nie to, być może miałabym jedno życie zamiast tysiąca innych, zaklętych na kartach, pachnących świeżym tuszem.

OSTRZEŻENIE DOTYCZĄCE TREŚCI

Książka, którą trzymasz w rękach, różni się od moich poprzednich publikacji. Porusza trudne i niepokojące tematy, mogą one wzbudzać negatywne emocje i nie każdemu przypadną do gustu. Bohaterowie zacierają granicę między dobrem a złem, decydując się na działania moralnie nieakceptowalne, w tym samosąd, którego nie pochwalam i do którego nie zachęcam. Wszystkie wydarzenia przedstawione w książce są fikcyjne i mają na celu jedynie dostarczenie rozrywki.

Z uwagi na charakter i treść powieści uprzedzam, że zawiera ona wątki nieodpowiednie dla młodszych czytelników oraz osób wrażliwych na trudne tematy, takie jak:

- Przemoc fizyczna i psychiczna,
- Molestowanie,
- Samookaleczanie i samobójstwo,
- Motywy śmierci, morderstw oraz zagrożenia życia,
- Uwięzienie i walka o przetrwanie w ekstremalnych warunkach,
- Silny stres psychologiczny i atmosfera napięcia,
- Relacje romantyczne kształtujące się w toksycznych i niezdrowych okolicznościach,
- Dylematy moralne oraz zachowania naruszające normy społeczne i etyczne.

To historia opowiadająca o zemście, przetrwaniu, strachu i emocjach wywołanych niecodziennymi sytuacjami. Bohaterowie stają przed wyborami, które mogą być trudne do zrozumienia lub akceptacji. Opisywane relacje nie są wzorem zdrowych więzi i ukazują dynamiczne, często toksyczne interakcje, nieakceptowalne poza kartkami, na których zostały opisane.



PROLOG

HARRINGTON

Nie uważał się za psychopatę, mimo że od kilkadziesiąt minut wpatrywał się w praktycznie obcą, pogrążoną w głębokim śnie dziewczynę. Ogarnęła go rosnąca fascynacja przypominająca płomień, który niespodziewanie zrodził się w środku ciemności – wydawał się piękny, lecz zagrażał temu, co było mu tak drogie.

Kędzierzawa blondynka oddychała spokojnie, miarowo i wbrew wszystkiemu, co sobie zaplanował, nie wyobrażał sobie, by miało to się zmienić.

A jednak...

Przyjechał tu w konkretnym celu, bynajmniej nie po to, by zatracić się w szaleństwie ferii zimowych z bandą snobistycznych dupków, nawet jeśli po części sam do nich należał.

Musieli zapłacić.

I zapłacą, już on tego dopilnuje. Było coś pięknego w wizji, że dosięgnie ich sprawiedliwość dokładnie w tym samym miejscu, gdzie półtora roku wcześniej życie jednego z ich „przyjaciół” zostało doszczętnie zniszczone. Mieli krew na rękach, a wkrótce ich własna miała splamić mury tego domu, a krzyk roznieść się po górach otaczających ich niczym niemi świadkowie zbrodni, która niegdyś się tu zdarzyła, i koszmaru mającego niebawem nastąpić.

Śmierć za śmierć.

To było tak proste. Banalne.

W jego planie, układanym skrupulatnie od wielu miesięcy, pojawiła się jednak jedna luka.

Ona.

Nie miało jej tu być.

Niczym cholerny Edward z tak popularnego kiedyś *Zmierzchu* obserwował, jak śpi. Może sam również był banalny. Morderca zafascynowany ofiarą. Lew i jagnię... jakoś tak to szło, prawda?

Na jego usprawiedliwienie – dziewczyna była niezwykle ładna, piękna nawet. Wyglądała tak spokojnie, delikatnie. Otulona ciepłymi ramionami snu, porzuciła wredną, odpychającą maskę, którą nosiła na co dzień. Jasne włosy rozsypały się po poduszce pełną chaosu kaskadą, światło księżyca wpadające do środka przez okno nadawało im srebrzystego połysku. Dłoń miała wsuniętą pod policzek, usta lekko rozchylone. Jej rysy skrywały w sobie jakieś nieuchwytnie piękno, nic dziwnego, że stało się ono powodem maniakałnego oczarowania, które z każdą sekundą zagnieżdżało się w nim bardziej i ścisnęło serce ciernistymi mackami.

Nawet tutaj, przy skraju łóżka, czuł ten słodki zapach. Pachniała jak świeża brzoskwinia, zresztą jej skóra również odcieniem przypominała mu ten owoc. Była czymś pomieszanym między kolorem oliwkowym a różanym, co stanowiło kontrast

do jej blond, niemal białych kręconych włosów. Podejrzewał, że już zawsze, gdy spojrzy na brzoskwinie, będzie miał przed oczami twarz dziewczyny.

Nie.

Nie mógł tak myśleć.

Miał zadanie do wykonania.

Cel.

A ona była jego przeszkodą.

Komplikacją.

Przecież wszyscy śpiący smacznie w tym domu powinni zginać nie dalej niż za tydzień. Włącznie z nią, skoro już się tutaj znalazła. Nie miało znaczenia, że nie była obiektem jego słodkiej vendetty. Gdy tylko przekroczyła próg tego budynku, z automatu stała się przypadkową ofiarą okoliczności. Będzie musiał zgasić jej eteryczne piękno. Uciszyć pieśń, którą nieświadomie snuła wraz z każdym zaczerpniętym wdechem, przyciągając go niczym syreni śpiew. Zrobi to z żalem, ale... zrobi to. Zabije ją. Musi.

To postanowienie nie powstrzymało Harringtona przed odwiedzaniem sypialni dziewczyny każdej kolejnej nocy, aż do momentu, w którym wskazówka zegara odmierzającego ich czas wybiła równe i głośne zero.

Wtedy zabawa się zaczęła, a stare demony wypełzły z cienia, żądając zapłaty.

Wbrew niezrozumiałym, burzliwym uczuciom stał się tym, czym od początku miał się stać: ucieleśnieniem zemsty.

Sprawiedliwością.

Katem.

I czuł się z tym cholernie dobrze.



ROZDZIAŁ PIERWSZY: NIE MA JUŻ ODWROTU

Środa

Przyjaciele Sutton byli grupką idiotów z grubymi portfelami, którzy sukcesywnie przykrywali swój brak inteligencji i jakiegokolwiek kultury pieniędzmi. Tak idealni na zewnątrz, a tak zepsuci i przegnili w środku. Już samo patrzenie na ich twarze powodowało u mnie skręt żołądka. Niestety zostałam do tego zmuszona, i to na prawie dwa tygodnie.

Dokładnie dwanaście dni.

Czekało mnie dwanaście dni w towarzystwie tych debili.

Początek świąt spędziłyśmy z Sutton w domu rodziców, a przez resztę wolnego miałyśmy przebywać właśnie tutaj, dokładnie do siódmego stycznia.

– Proszę, proszę, Sutton, w końcu udało ci się wyciągnąć gdzieś swoją uroczą siostrzyczkę! – krzyknął Tyler, gdy tylko przekroczyliśmy próg wakacyjnego domu ojca dziewczyny, a mojego ojczyma.

Byłam trochę zaskoczona, że pozwoliła im przyjechać szybciej i z pełnym zaufaniem przekazała im klucze do rezydencji. Jeszcze większy szok wywołał fakt, że Roger Davison się na to zgodził, ale może nie powinno mnie to aż tak dziwić. Sutton była jego oczkiem w głowie, typową córeczką tatusia. W większości przypadków zwyczajnie nie potrafił jej odmówić.

Z ponurą miną rozejrzałam się po korytarzu, aż mój wzrok padł na Tylera. Szczerzył idealnie białe i idealnie proste zęby w szerokim uśmiechu.

Odruchowo zaczęłam szukać dłonią swojego naszyjnika, ale gruby szal skutecznie mi to uniemożliwił. Musiałam poradzić sobie ze stresem i niechęcią bez niego. A ten typ budził we mnie niepokój zmieszany z obrzydzeniem za każdym razem, gdy znalazł się w zasięgu mojego wzroku. Za. Każdym. Razem. Było w nim coś śliskiego. Mimo pozornie przyjaznej aparycji, wspartej częstymi, niekoniecznie szczerymi uśmiechami, miał w sobie coś z gada, który uciekł z terrarium.

– To nie moja zasługa – odpowiedziała Sutton, stawiając walizkę na podłodze. – Matka ją do tego zmusiła.

Spięłam się. Zaciśnęłam palce na rączce torby, którą wciąż trzymałam przed sobą, zamiast zwyczajnie odstawić pod ścianę. Nieważne, że od jej ciężaru o mało nie odpadła mi ręka.

Czułam się okropnie niekomfortowo pod baczny spojrzeniem przyjaciela Sutton, więc tkwiłam w miejscu jak słup soli. Zaczynało mi się robić trochę gorąco, pot powoli zraszała moją twarz, mimo tego nie wykonałam żadnego ruchu, by zdjąć kurtkę, czapkę i buty. Byłam zbyt pochłonięta odstraszeniem chłopaka nieprzyjemnym spojrzeniem oraz jawnie zde gustowaną miną. Cała moja postawa miała stanowić tarczę na tego dupka.

– Nie przywitasz się ze starym znajomym, Hope? – zapytał, unosząc brew.

I odbił się od tej tarczy zupełnie niewzruszony. Albo nie dostrzegał moich znaków, albo zwyczajnie miał je gdzieś. Obsta-
wiałam to drugie.

Coś błysnęło w jego oczach, gdy tak mi się przyglądał, i wcale mi się to nie podobało. Nie wydawał się zniechęcony moim na-
stawieniem. Milczeniem. Ignorancją.

Odpowiedziałam mu marsową miną.

– Cześć – przywitałam się oschle.

Tyler rozłożył ręce.

– I oto jest! – wykrzyknął. – Nasza osobista królowa lodu!

Skrzywiłam się jeszcze bardziej. Wyglądałam, jakbym zjadła
cytrynę, a byłam tu od jakichś dwóch minut. Fantastycznie.

W trakcie tej krótkiej wymiany zdań i spojrzeń Sutton zdąży-
ła już się rozebrać i teraz szła w kierunku Tylera, by rzucić mu
się na szyję, tym samym nieświadomie ratując mnie przed jego
uwagą. Chłopak podniósł ją, ściskając tak mocno, że pisnęła.

– Tęskniłam za tobą, Ty.

– I vice versa, słonko.

W takich chwilach paczka znajomych mojej przybranej siostry
wydawała się całkowicie normalna. Przyziemna. I nawet sympat-
yczna. Ale ja wiedziałam, że cała szóstka miała też drugą twarz.
Ich szerokie uśmiechy były sztuczne i wyuczone, a gdy nikt zbyt
bacznie im się nie przyglądał, szybko przybierały okrutny wy-
miar. Kiedy uczęszczali jeszcze do West High Academy, mieli
pod butem całą szkołę, wydawali się nietykalni i nierzadko
z tego korzystali. Życie niejednego rówieśnika zmienili w piekło.
Byłam pewna, że uczniowie elitarnego liceum odetchnęli z ulgą,
kiedy ta świta zakończyła naukę i wyjechała na studia, lecz za-
pewne taki stan rzeczy nie trwał zbyt długo. W miejsce jednego
drapieżnika zawsze pojawiał się kolejny, szczególnie tam, gdzie
roilo się od zepsutych, bogatych dzieciaków.

Ten wyjazd miał być ich pierwszym spotkaniem po długich miesiącach rozłąki. Zaraz po wakacjach wszyscy rozjechali się do college'ów, włącznie ze mną. Wielka Szóstka została rozdzielona, pozostał im jedynie kontakt telefoniczny. Między innymi dlatego Sutton była tak podekscytowana tym wyjazdem, trajkotała o nim bez przerwy, odkąd wróciła do domu po egzaminach.

Wisienkę na torcie stanowił fakt, że już następnego dnia miał do nas dołączyć jej nowy chłopak. Nie miałam pojęcia, kto o zdrowych zmysłach chciałby się z nią spotykać, więc przyjąłam tę wiadomość niespecjalnie zadowolona.

Kolejny dupek do kolekcji. Hura!

Ostatni raz spojrzałam z niechęcią na dwójkę witających się przyjaciół, po czym rzuciłam torbę na podłogę. Upadła z głuchym trzaskiem.

Musiałam się w końcu rozebrać, bo zaczynałam się topić, a tkwienie w miejscu nie pomogłoby mi zniknąć. Lepszego momentu bym nie doczekała. Tyler był zajęty, więc mogłam w spokoju pozbyć się zimowej odzieży i umknąć na górę, nim by się do mnie zbliżył i zrobił coś strasznego. Jak próba przytulenia mnie, co właśnie robił z Sutton. Nie mieliśmy takiej więzi, ale chłopak bezustannie naruszał moją przestrzeń osobistą, dlatego właśnie tak długo gotowałam się w ubraniach, kryjąc się za torbą niczym za tarczą, żeby utrzymać go na dystans.

Kiedy moja kurtka wisiała już na wieszaku, a buty zostały schowane do szafki, usłyszałam energiczny tupot stóp. Przyknełam na chwilę oczy, a zaraz później do obszernego korytarza wpadli Ian wraz z Coco, która była przyczepiona do jego pleców jak małpka. Czarnoskóra drobna dziewczyna z burzą ciemnych loków zaplatała dłonie na szyi wysokiego muskularnego blondyna. Z tego, co wiedziałam, ta dwójka była parą, choć schodzili się i rozchodzili przynajmniej kilka razy w roku. Wniośkując po tym, jak zachowywali się teraz, zdecydowanie znów do siebie wrócili, najpewniej do kolejnej kłótni. Wcale bym się

nie zdziwiła, gdyby rozstali się jeszcze przed końcem wyjazdu. Z opowieści Sutton wynikało, że Ian i Coco najczęściej ścierali się po alkoholu, a nie wątpiłam, że tu będzie się łał strumieniami, nieważne, że nikt z nas nie miał jeszcze dwudziestu jeden lat.

Jednym uchem słuchałam kolejnego piskliwego powitania, tym razem w tandemie. Moja przybrana siostra wymieniała uściski z dawno niewidzianymi przyjaciółmi, przesłodzonym głosem wyrzucając z siebie czułe uprzejmości. Wiedziałam, że w odpowiednich warunkach może skuć się lodem, choć to mnie jej przyjaciele lubili nazywać jego królową. Być może dlatego, że za każdym razem, gdy Sutton zapraszała ich do naszego domu, traktowałam tych ludzi z największym możliwym dystansem i jedyne interakcje, jakie ode mnie dostawali, to niewyraźne mruknięcia lub sarkastyczne uwagi. Nie mogłam nic poradzić na to, że najzwyczajniej w świecie ich nie lubiłam.

Właśnie dlatego cały ten wyjazd był istną katorgą i w życiu bym się na to nie zdecydowała, gdyby nie nagminne nagabywanie matki. Wraz z Rogerem miała zamiar wyjechać, by spędzić Nowy Rok na Bali, więc zostałabym sama w ich wielkim domu. Po którymś jej pełnym żalu przekonywaniu zwyczajnie uległam, bo miałam już dość ciągłych pogadanek o tym, że w takim razie ona nigdzie nie pojedzie albo, co gorsza, że jesteśmy rodziną, a Sutton jest przecież moją siostrą i powinnam nawiązać z nią głębszą relację, a ten wyjazd w końcu nam to umożliwi. Chyba nie docierało do niej, że skoro nie nawiązałyśmy żadnej więzi w trakcie kilkunastu miesięcy mieszkania pod jednym dachem, to raczej już się to nie wydarzy, a już na pewno nie w trakcie niespełna dwutygodniowej przerwy zimowej. A może zwyczajnie chciała się mnie pozbyć, by z czystym sumieniem wyjechać z Rogerem? Nie wiedziałam. Całkiem możliwe, że obie odpowiedzi były tu prawidłowe.

Problem w tym, że mama już na starcie się myliła, nawet jeśli miała dobre intencje. Sutton nie była moją s i o s t r ą i nigdy

nie miała się nią stać. Nie tylko dlatego, że nie zasługiwała na to miano, lecz także dlatego, że nikt nie mógłby zastąpić mi Joy.

Ona, i tylko ona, była moją prawdziwą siostrą, nawet jeśli mama wolała wymazać jej imię z pamięci, bo niosło ze sobą zbyt wiele bólu. Cóż, ewidentnie nie byłam tak dobra w ruszaniu do przodu jak ona. Nie potrafiłam spalić za sobą mostów, a jeśli już, to stałam na takim, co się zapadał i trząsł w posadach, nie zważając na to, że niebawem runę w przepaść.

Postawienie rozpuszczonej Sutton na miejscu Joy mającej serce na dłoni było dla mnie jak splunięcie na wszystkie wspomnienia, które wiązałam z tą jedną prawdziwą siostrą.

Rozejrzałam się niepewnie, nie do końca wiedząc, co powinnam ze sobą zrobić. Nigdy wcześniej nie byłam w górskim domku rodziny Davison, położonym w głębi górskiego szlaku w Kolorado. To ulubiona miejscówka Sutton, ale mnie nigdy specjalnie tu nie ciągnęło.

Przesuwając wzrokiem po drewnianych ścianach, schodach z miękkim kremowym dywanem, w końcu pochwyciłam spojrzenie Coco, która zdążyła już zeskoczyć z pleców Iana. Stała teraz obok Sutton z założonymi ramionami.

– Cześć, Hope – powiedziała z udawanym entuzjazmem. – Jak życie?

Jeśli czegoś nie znosiłam bardziej od osób stojących ze mną w pomieszczeniu, to durnych pogawędek o niczym.

– Dobrze – odpowiedziałam krótko, po czym zaraz skierowałam się w stronę przybranej siostry. – Gdzie mogę zanieść swoje rzeczy?

Dziewczyna obrzuciła mnie tylko przelotnym spojrzeniem i zaraz zerknęła pytająco na przyjaciółkę.

– Poza twoją sypialnią wolny jest jeszcze pokój na końcu korytarza – wyrwała się Coco. – Po lewej stronie. Wszystkie inne są już zajęte.

Skinęłam głową i sięgnęłam po torbę. Wyminęłam ich bez słowa, unikając spojrzeń i licząc na to, że dzięki temu sama stanę się dla nich niewidzialna.

Niedoczekanie.

– Tylko nie zaszywaj się tam na cały wieczór! – krzyknęła za mną Sutton. – Mamy w planach małą imprezkę!

Przewróciłam oczami. Oczywiście, że mieli, i to pewnie na kolejne dwanaście wieczorów. Przeczuwałam, że każdy z nich wróci do domu z ostrym delirium.

Jedyne, co mnie w tej propozycji zdziwiło, to fakt, że w ogóle padła. Ale „siostra” często zachowywała się, jakby miała rozdwojenie jaźni. Raz zupełnie mnie ignorowała, potem przechodziła fazę ciągłego dogryzania mi, by na końcu przejść do dziwnej formy udawanej przyjaźni. Nasza relacja, o ile istniała, była bardzo chwiejna i niejednokrotnie wymuszona. Tego dnia dziewczyna miała bardzo dobry humor, być może dlatego zdecydowała się zaprosić mnie na małą posiadówkę.

– Dokładnie – przytaknął Tyler. – Meghan i Jackson już wzięli się za szykowanie drinków.

– Może posiedzimy w jacuzzi? – zaproponowała Coco.

– Dzisiaj? – jęknęła Sutton. – Chyba jestem zbyt zmęczona. Chcę się tylko napić i iść spać.

– Jak chcesz.

– Zawsze możemy iść tam sami – wyszeptał sugestywnie Ian do ucha Coco, ale na tyle głośno, że wszyscy usłyszeli.

– Faj! Nie ma mowy – fuknęła Sutton. – Po waszej dwójce trzeba będzie wymieniać wodę. Dobrze wiem, co byście tam robili. To obrzydliwe!

– Już nie bądź taką cnotką, dobrze wiemy, że sama skorzystasz z tego pomysłu, kiedy zjawi się tu ten twój nowy chłopak. Jak on właściwie ma na imię?

– Vince.

– Właśnie! Vinnie! – Tyler klasnął w dłonie. – Jestem przekonany, że ty i mały Vinnie przykładowo skazicie każdy centymetr tego domu.

– Zazdrosny? – zapytała z przekąsem.

– O ciebie zawsze, słonko.

Przestałam ich słyszeć, kiedy wspięłam się na piętro. Dobięło mnie jedynie echo ich śmiechu i dudnienie kroków, więc musieli udać się już do salonu lub kuchni. Sama podreptałam do wskazanego wcześniej pokoju.

Dwanaście dni.

To tylko dwanaście dni.

Dasz radę.

Rezydencja Davisonów naprawdę robiła wrażenie. Nie taki obraz przed oczami miał zwykły szary człowiek, kiedy myślał o domku wakacyjnym. Już sama moja sypialnia sprawiła, że lekko opadła mi szczęka, choć po dwóch latach mieszkania w ich nie mniej luksusowym domu w niewielkim miasteczku Sunsdale w stanie Teksas powinnam się przyzwyczaić do takich wnętrz. Nie wiem, dlaczego sądziłam, że wakacyjna rezydencja będzie urządzona z mniejszym przepychem.

Pokój, który przypadł mnie, okazał się naprawdę przestronny. Ściany pokrywały drewniane deski; podejrzewałam, że było tak i w reszcie domu. Na jednej z nich umieszczono klimatyczny kamienny kominiek ciągnący się aż do samego sufitu. Wystawała z niego mała półeczka, a na niej ustawione zostały zdjęcia gór w prostych białych ramkach. Pierwsze skrzypce w tym pomieszczeniu grało oczywiście łóżko – równie ogromne jak to, które miałam w domu matki i jej męża. Zaścielono je grubą pościelą w szarą kratę, a na wierzchu ułożono wełniany koc w brudnokremowym kolorze. Poza tym w sypialni znalazła się również

przestronna szafa, dwa stoliki nocne oraz dwa fotele skierowane w stronę dwóch gigantycznych okien wychodzących na las.

Podeszłam do nich i wyjrzałam na zewnątrz. Zaczynało się już ściemniać, gwiazdy migające na niebie z każdą chwilą nabierały intensywności, a księżyc sunął w górę, oblewając korony drzew srebrzystym światłem. W tle majaczyły górskie szczyty, które wyglądały dość upiornie na tle nastającego zmroku. Dreszczyku grozy dodawał fakt, że poza nami nie było w tej okolicy zupełnie nikogo. Najbliższe miasteczko znajdowało się dobre kilkanaście kilometrów stąd, a z tego, co wiedziałam, dookoła nikt się nie wybudował.

Można by pomyśleć, że dla osoby takiej jak ja, która niezbyt lubiła tłumy – a czasem wręcz dostawała w nich ataków paniki – to miejsce wyda się kojące. Niestety wcale tak nie było. Chyba nie przypadły mi do gustu żadne skrajności. Ani kompletne odludzie, ani tłok. Najlepiej czułam się w czymś pomiędzy.

Przetarłam ociężale twarz, po czym powoli wypuściłam zebrane w płucach powietrze. Zerknęłam przelotnie na walizkę, którą porzuciłam u nóg łóżka. Pewnie powinnam ją rozpakować, lecz zupełnie nie miałam na to ochoty. Czułam się zbyt znużona po podróży. Najchętniej poszłabym spać, co odsunęłoby w czasie nieuchronne spotkanie z Wielką Szóstką.

Przyda ci się trochę integracji z innymi – przekonywała mnie mama, gdy raz za razem odrzucałam jej propozycję wyjazdu z Sutton. – *Żaden człowiek nie może być wiecznie sam, kochanie. A ty odcinasz się od wszystkich, odkąd... od kilku lat. To się musi skończyć, życie płynie dalej.*

Gdy ją wyśmiałam, zapytała mnie, czy znalazłam jakichś przyjaciół na studiach. To mi zamknęło usta i spaczyło argumenty. Rzeczywiście przez całe liceum i pierwszą połowę studiów nie udało mi się nawiązać z nikim bliższych relacji. Miałam znajomych, pewnie, ale nikogo, kto przejąłby się, gdybym

nagle zniknęła z powierzchni ziemi. Nawet moje związki były powierzchowne, krótkie, nierzadko zwyczajnie jednorazowe.

Nie bez powodu zresztą. Po śmierci Joy zmieniłam się w chodzący drut kolczasty. Do dziś nie przebolełam jej straty, nie pomagały też wyrzuty sumienia, które zżerały moją duszę od środka. Nie wyobrażałam sobie, bym miała przechodzić coś takiego ponownie.

Ale do matki to nie docierało. Chciała mnie naprawić. Poskładać na nowo, chociaż brakowało mi znaczących elementów.

Niechętnie wyciągnęłam telefon i wystukałam krótką wiadomość.

Hope:

Jesteśmy na miejscu.

Nie zdążyłam nawet schować komórki, bo zaraz zawibrowała, sygnalizując nadchodzącą odpowiedź.

Mama:

Świetnie! Baw się dobrze, kochanie!

Będę.

Jak tylko wrócę do domu.

Podniosłam dłoń w okolice dekoltu, wymacałam znajomy łańcuszek i zaczęłam obracać srebrną zawieszka w kształcie serca. Potem potarłam twarz i sięgnęłam do torby, by wyjąć z niej swój dziennik. Miałam do napisania jeszcze jedną wiadomość.